

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 2 października 1920 roku.

Nr 40.

ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ.

12)

PIĄTE KOŁO.

— Ponieważ to nie jest w zwykłym. Formalnie należy kochać tylko rodzonych braci; choć bywają oni nam nieraz najobojętniejsi pod słońcem i tak obcy, że przy najradszym nawet spotkaniu—nie możemy jednej myśli z nimi zamienić. I siostry, podług tegoż nakazu obowiązkowo niby się kochają, choć bywają dla siebie w gruncie już nie obojętne, lecz bardziej wrogie, niż Chinki, zaprzężone do taczki życia z Mongołkami. Nie zaobserwowałeś tego? Kocha się niby zawsze rodziców, i wszyscy rodzice, jak jeden mąż—kochają niby zawsze jednakowo wszystkie swoje dzieci, prawda? Wszystko to już takie gotowe, takie niby słuszne. Tylko, że osobiście nie nasze i bez nas na całe wieki naprzód podpisane i w księgi zarejestrowane. Choć przecież każdy z nas ma swoją własną prawdę, tak jak ma się własny węch, własny smak, oczy i własną duszę, dla której tamto wszystko ogólne może nie być prawdą.

— Nie wierzysz w miłość rodziców ku swoim dzieciom?

— Nie obawiaj się. Nie zapomniałem, jak uwielbiała mnie moja święta matka. Ja brzydał do końca życia nie będę już tak kochanym przez nikogo. A nawet ty, piękny chłopiec, przechodzący z jednych objęć w drugie—nie znajdziesz już w swoim życiu serca, które kochało by cię tak z tak bezinteresownym poświęceniem, jak twoja matka. Bo miłość żon i kochanek opłaca się pieniędźmi, lub urodą i zdrowiem. A jedynie matki potrafią kochać swoich synów brzydkich, chorych i ubogich. Byłeś zbyt młodym, aby zdawać sobie sprawę z ogromu uczuć tych dwóch, niestety przedwcześnie zmarłych, kobiet tak dokładnie, jak ja. Lecz, niezależnie od tych faktów—fałszem jest, że wszyscy rodzice

jednakowo kochają swoje dzieci. Bo matki bardzo często poza formalną miłością nie sympatyzują ze swymi zamężnymi córkami, które także wprost zmuszają się jedynie dla opinii do niezrywania ze sobą towarzyskich stosunków. A bardzo wielu ojców aż razi obcość, psychologia i poglądy rodzonych synów. I jedynie jarzmo konwenansów hamuje ich od wybuchów. Są, jak owi małżonkowie, którzy po skończonym szale erotycznym przeświadczeni o obcości swoich dusz—przechodzą męki Tantala, stąpając sobie po piętach aż do grobu, nie rozłączając się ze sobą jedynie z obawy skandalu.

I, przejęty dźwiękiem własnych słów i, jakby zachęcony wśród ciszy głosem zmarłej matki, upierającej się w zachwycie. „Ach! ty gaduło:—mów, mów dalej!” —Pawełek rozgadał się naraz z pasją mruków, wymownych od wielkiego święta:—Nie kocha się ani złych rodziców, ani niedobrych dzieci. Lecz przyznanie się do podobnych zastrzeżeń, zowie się sceptycyzmem. Mówisz, że jestem twoim przyjacielem. Lecz przyjaźń, nieuznawana, nietolerowana wyszła już dawno z wody. Oni cytowano z czasów starożytnych Achilla i Patrokla, Oresta i Pilada, Kastora i Poluksa. W późniejszych czasach podobno Montaigne przyjaźnił się ze Stefanem de la Boétie. A z epoki romantyzmu doszły do nas bardzo serdeczne i sążniste listy przyjazne Słowackiego do Krasińskiego, Mickiewicza do Odyńca i do Zana. O! Ten 31 rok marzycielstwa, przyjaźni i braterstwa! Dziś były by wprost rażące te czułe wiersze Viktora Hugo, dedykowane Lamartine'owi, adoracje przyjaźni i braterstwa Sainte-Beuve'a dla Dawida d'Angers, oświadczenia podziwu Gautiera dla Balzaka. Lecz już wprost anormalnym wydawał by się czuło-

stkowy sentyment listów Szopena do jego serdecznych przyjaciół Elsnera, Kolberga a szczególnie do Wojciechowskiego. W listach tych nazywa Szopen swego rówieśnika nie inaczej, jak „najdroższym Tytusem”. Przeczytaj i przekonaj się z tej oto książki.

Pawełek podał Jurkowi przyniesioną ze swojej biblioteki monografię Karasowskiego: Fryderyk Szopen. I obaj poczęli wertować urywki listów tej genialnej harfy eolskiej, nieustannej kaskady pereł nieuleczalnego smutku i uczucia. A listy te czułe, smutne i szczerze brzmiały prawie, jak jego nokturny: „ściskam cię serdecznie — tak piszą pospolicie na końcu, ale nie wiedzą, co piszą. Wierzaj mi jednak, że wiem, com napisał, bo cię kocham, jak twój zawsze Fryc. „Nigdy mi tak ciebie nie zbywało, jak teraz. Nie mam komu się wylać. Twoje jedno spojrzenie po każdym koncercie byłoby dla mnie więcej warte, aniżeli wszystkie pochwały gazeciarzów. Czas leci... Muszę się iść umywać... Całuj mnie teraz... Ale ty, chociażbym się bizantejskimi olejkami wysmarował, nie pocałowałbyś mnie, gdybym ja ciebie magnetycznym sposobem do tego nie przymusił. Jest jakaś siła w naturze tajemna... Bywaj zdrow. Twoje listy chowam razem z wstążeczką. Cieszy mnie, że te dwie martwe rzeczy mogą się ze sobą znosić. Bo chociaż się znają, to czują, że z najdroższych mi rąk pochodzą. Ściskam cię i całuję w same usta, pozwolisz”.

Pawełek zamknął książkę i, mrużąc oczami, jak w chwilach największego zdenerwowania, mówił tym tonem, jakim odzywamy się nieraz nie do słuchacza, lecz do własnych myśli.—Jakżeż zazdrościsz Szopenowi tego skromnego Tytusa Wojciechowskiego! Zazdrościsz saloniku pani Hugo na poddaszu ulicy Notre-Dame de champs. Zazdrościsz Goncourtom bohemji, i wszystkim piwnicznym hejdelberskim bruderszaftom. Bo u nas obecnie „na

dwóch rzeźbiarzy, trzech do siebie nie gada". A Szopenowi miłość ku Wojciechowskiemu nie przeszkadzała wcale kochać się w pani Georges Sandowej, która imponowała jego kobiecej duszy energią i stanowczością swego charakteru, a działała nawet na niego urodą męską wbrew stałemu rozanieleniu Szopena.

— Bo dziś uczą nas kochać jedynie całą ludzkość, cały naród, lecz nie — choćby cztery osoby z najbliższego otoczenia poza żoną, rodzinami i dziećmi. Stąd w chwilach erotycznego przesytu i nieszczerych programowych uczuć do rodziny — czujesz w rozpaczę tę bezbrzeżną pustkę i brak bratniej dłoni, tak niezbędnej nieraz w bezradnej niedoli. Toż już utyskujące także na obłudę przyjaciółek — kobiety — żyją więcej przyjaźnią, niż my. W nieszczęściu, lub w chorobie znajdziesz zawsze u ich łóża więcej tkiłości otaczających je koleżanek, niż w naszych garsonierach, w których podaje choremu szklankę wody i lekarstwo jedynie stróżka. Bo towarzysze i towarzyski zabaw poznikali naraz, jak kamfora! Dziś, kiedy mężczyzna z musu popada w męczące go kolizje plotek teściowej i wszystkich kuzynek żony, tak obce jego odrębnej męskiej naturze i psychice — czułe korespondencje romantyków i ich zapalanie się wzajemne do utworów kolegi wydają się z innej planety. I bez jednego choćby stolika trzech przyjaciół z kawiarni, którym można by powierzyć swoją troskę, samotni, wśród tłumów, jak na pustyni najsłuszniej winimy niewolę rosyjską. Bo to ona zabiła w nas zolność towarzyskiego kontaktu, który zakwitać może jedynie w klubach, bursach, stowarzyszeniach kolegów, przyjaciół i skautów. To one wskrzeszą może w przyszłości tę niefigurującą w schematach obecnego życia przyjaźń, uważaną obecnie jedynie za mazgajstwo, lub co gorzej za zboczenie. I za zwyrodniałego uchodzi człowiek, wyciągający dłoń swoją do odnalezionej pokrewnej duszy. I stąd ten nasz wieczny chłód i pustka samotnych jaźni, które w napadach smutku tarasują się ryglami od dźwięku krzykliwych żon, kochanek i obojętnej rodziny. Czy nie zauważyłeś nigdy na pogrzebach radości, maskowanej obłudnym smutkiem, a na weselach smutku, maskowanego radością? Ach! Gdybyż już raz nie wtrącano się do naszych serc i nie katalogowano, edyktów naszego życia wewnętrznego! Gdybyż raz pozwolono nam cieszyć się lub martwić nie z urzędu. Gdybyż już raz wyzwolony z pęt indywidualizm nie

uchodził za dziwactwo, warcholstwo lub za potworność! Nie powinno kochać się ani ojca, ani brata, ani swata, nikogo. Jedynie tego, kogo się kocha. Bo i tak wszelka inna urzędowa miłość jest jedynie fałszem i obłudą. Bo nakazywać można tylko gangrenujące naszą jaźń udawanie. Lecz nigdy prawdziwe uczucia, niezależne od naszej woli.

— Bo czyż nie widzisz — chciała krzyczeć dusza Pawełka — że i ja przez całe życie...

I naraz zamilkł z tą nieudolnością do wyrażenia prawdy, z jaką usta nasze, wytrenowane jedynie do kłamstwa zamykają się nagle na cztery spusty aż do grobu.

Sekundę ciszy rozpruł naraz skąpany w niebieskich oparach swojej fajeczki Jurek, któremu w zupełności wystarczało towarzystwo dziewczyn; a w bilard grywał najchętniej z markerem.

— Wiesz, czemu ty tego wszystkiego kiedy nie napiszesz? — zawyrokował Jurek, poprawiając sobie w luście krawat — nie bardzo przejęty głębią tych oryginalnych wywodów Pawełka. — Bo takich pięknych słów to nawet szkoda na zwykłą gadaninę. Ty widocznie układasz sobie te wszystkie myśli wtedy — zakonkludował trafnie — kiedy my wszyscy przelewamy w paplaninie z próżnego w pustę, prawda?

— Moj drogi. Natura w swoich darach nie bardzo trudziła się na harmonijne skompletowanie całości, stanowiącej ludzkie szczęście. Gaduły posiadają łatwość słowa, a takie mruki, jak ja — więcej myślą. Bo mają na to więcej czasu. Natura — zdaje się nie lubi doskonałości. Jakby z zazdrości o szczęście bez zastrzeżeń. Sama także nie jest doskonałą. Różom dała też kolce, abyś w pragnieniu rozkoszowania się ich wonią — podrapał sobie do krwi ręce. A Matejkę pozbawiła dobrego wzroku, a Bethovena — słuchu. Ja posiadam od natury węch i intuicję bez talentu techniki — wyśpiewania pieśni, które mi w duszy śpiewają. I tamci technicy są nieszczęśliwi, bo tworzą rzeczy słabe. I ja cierpię wykołejony, ponieważ wypowiedzieć się nie potrafię ani pismem, ani słowem.

— I z moją duszą, ciężarną od myśli, w świat niepuszczonych — uginam się — wiecznie obcy wśród urzędników banku i filistrów.

— A jednak wiesz — rzucił niewyspany po ostatniej orgji Jurek — kiedy porównyвам twój charakter, umysł i uduchowanie z jałowością moich nocnych hulanków, czasami zazdroszczę ci. Słowo honoru. Bo

ostatecznie łajdactwo jest zawsze tylko łajdactwem. I łeb cię nieraz od tego boli. A przytem, ci lichwiarze, długi i inne brudy, o których nie wspomina się... E! Psia krew!

— Widzisz — zaśmiał się smutnie Pawełek — że nie istnieje na świecie harmonja szczęścia bez zastrzeżeń.

— Najsmutniejszy fakt — ubolewał z zewnętrznym smutkiem Jurek — że ty zdaje się — wątpisz w moje uczucia przyjaźni dla ciebie. To już jest kompletne świństwo z twojej strony. Słowo daję.

— Mój drogi. Nie należysz do ludzi, trudzących się przewartościowaniem utartych wartości. Więc wobec ogólnej definicji, iż wielka przyjaźń jest idiotyzmem, lub chorobą — godzisz się jedynie na pewne przyjęte przez ogół zastrzeżenia.

— Chwała Bogu. Więc jest przynajmniej jakieś zastrzeżenie. Ciekawy jestem jakie?

— Jeżeli przyjaciel ma piękną żonę — to okaże się osłem ten, kto będzie jego domu unikał i kto zechce, unikając domu tegoż przyjaciela, odgrywać rolę Józefa w stosunku do Putyfary. Więc gdybym zaślubił kiedy piękną kobietę, byłbyś u mnie bardzo częstym gościem.

— Fi! Jaki ty jesteś cyniczny. Wstydz się, słowo daję — roześmiał się Jurek nie bez pewnego zadowolenia na samą myśl owej nieznanej mu jeszcze pięknej żony tego biednego Pawełka, której naraz stał się ogromnie ciekawy... — Nie spodziewałem się od ciebie takiego cynizmu.

— Naturalnie. Najlepszą obroną kłamstwa — roześmiał się smutnie Pawełek — jest nazywanie rzeczy po imieniu — cynizmem. Zresztą to przecież już znany ogólnie fakt, że ja jestem oschłym cynikiem; a ty z całą swoją nocną swiłą jesteście dobre-mi pogodnemi chłopcami, sympatycznymi i serdecznymi Polakami. Choć mądrze uczyniła natura, że nie stworzyła wszystkich na jedną modłę: ani podobnych, jak jeden mąż do was, ani samych bliźniaków z mojej parafji. A co się tyczy mojej przyszłej pięknej żony — żarcikował smutnie Pawełek — to nie powinienem może, uprzedzając wypadki, wywoływać wilka z lasu.

— Ach! Ty stary warjacie!

Dalszy ciąg nastąpi.



Tajemnica Rodu Koenigsmarków.

19)

Przekład z francuskiego przez H. J. P.

„Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień. Jednego tylko się bałam, by polowanie nie odbywało się na zbyt równym i wygolonym terenie. Uspokoiliam się wprędce. Wprawdzie były wielkie aleje w lesie dla pań, ale tuż obok gęste zarośla, strumyki, a tu i owdzie kilka porządných parowów.

„Tarras-Boulba, któremu dałam przed wyjazdem pół funta cukru zwilżonego whisky był żwawy, ale pełen godności.

„Skłamałabym, gdybym zataiła, że ukazanie się jego wywołało okrzyki. Kronprintz zapytał mnie, czemu go nie kazałam ogolić.”

— „Niech sobie mówią co chcą—szepnęłam memu konikowi—o my wiemy co wiemy.

„Zrozumiał mnie i wyrzucił łbem dobroduszenie.”

„Wielki książę Rudolf umieścił się obok mnie. Okazałam mu tyle uprzejmości, że biedny chłopiec, ośmielony, rzekł pocichu:

— „Czy pani nie gniewa się, że jestem jej towarzyszem?”

— „Co za myśl—odrzekłam.—Ale te dworskie salony są tak nieznośne. Niema się ani chwili spokoju. Tutaj można odetchnąć; pogonić wzrokiem w przestrzeń. Będziemy mogli pogawędzić.

— „Pani kocha naturę—szepnął upojony.—Jakże jestem szczęśliwy!”

„Ja także byłam zadowolona. Czułam, że nie odstąpi mnie ani na krok.”

„Wypuszczono pierwszego lisa. Nie zaszedł żaden wypadek, chyba ten, że Tarras-Boulba rozweselony dźwiękami rogów, zaczął tańczyć polkę i położył przednie kopyta na zadzie kłaczy Adalberta, który o mało nie wyleciał z siodła. Od tej chwili unikano mego barberekczyka jak zarazy.”

„Wielki książę Lautenburski dosiadł jednego z tych wierzchowców drogich sercu Niemców rosłego gniadosza o przegubach grubych jak szynki i grzbiecie szerokim jak bilard. Co więcej poznałam prędko, że ta szkaradna szkapą twarda była w pysku i galopowała z głową pomiędzy nogami.”

— „Biedaku!—pomyślałam—będzie ci ciepło za chwilę przy skakaniu przez rowy.”

„Zabito drugiego, poczem trze-

ciego lisa bez przeszkody. Nagle czwarty pomknął pomiędzy mną a wielkim księciem. Był chudy, prawie bez ogona, właśnie taki, jaki mi był potrzebny.”

— „Na nas kolej!—zawołałam na Rudolfa.”

— „Spiał swego gniadosza ostrogami, a ten zaczął galopować, jak gdyby szedł do ataku.”

„Lis już był o sto metrów przed nami.”

„Pocziwe zwierze! Prowadziło nas prosto w zarośla.

„Wielki książę odwracał się raz po raz:

— „Może jadę za prędko. Czy pani możesz mi nadążyć? pytał zadyszany.”

— „Jedź pan, jedź—odpowiedziałam.”

„A Tarras-Boulba prychnął, jak gdyby chciał powiedzieć:

— „Szoruj! Szoruj!

„Za chwilę byliśmy już w pełnym lesie. Wówczas dotknęłam tylko szyi mego barberekczyka i popuściłam mu cugli. W mgnieniu oka wyminięłam wielkiego księcia.

„W przelocie dostrzegłam jego twarz rozczzerwioną, zadyszana... Był już o ćwierć wiorsty za mną.”

„Na mój rozkaz Tarass-Boulba zwolnił biegu.”

„Tak się przestraszyłem—rzekł biedak, dopędzwszy mnie.—Myślałem, że koń pani poniósł.”

— „Bacność! zawołałam.”

„Strumyk otwierał się przed moimi stopami. Przeskoczył go jako tako. Przed nami na malej równinie zmykał lis mając za sobą trzy gończe.

„I znowu zarośla. Położyłam się prawie na karku Tarras-Boulby, unikając tym sposobem gałęzi, wśród których głowa mego konika robiła nagle, wnet zamykające się otwory. Ale mój biedny towarzysz miał całą twarz zakrwawioną. Jakiś dębczak zerwał mu binokle. Czułam, że jest cały rozklekotany. Jego wielka szkapą sapala jak miechy.”

— „Śmiało! zawołałam—lis zaczyna się męczyć. I dotknęłam Tarras-Boulby ostrogą. Mój konik nie lubi tych żartów. Dał olbrzymiego susa i pomknął jak szalony. Za mną tamten nadążał zziąjany wśród straszliwego trzasku łamanych gałęzi.”

— „Gnasz już ostatkami, ko-

chanku—pomyślałam. Przy pierwszej sposobności powinie ci się noga!”

„Owa pierwsza sposobność przedstawiała się wkrótce pod postacią rozpadliny, szerokiej na piętnaście stóp i tyleż głębokiej, o poszarpanych, zdradzieckich brzegach. Przez chwilę wąpiłam nawet czy Tarras-Boulba po tym szalonym biegu zdoła ją przeskoczyć! Ale lotny jak jaskółka dzielny mój konik znalazł się wnet po drugiej stronie. Wówczas odwróciłam się, przewidując so się stanie.”

„Już się stało. Jeździec i koń padli z łoskotem. Gniadoszowi osunęły się tylne nogi: bez ceremonji zrzucił księcia Rudolfa na ziemię.”

„Zeskoczyłam z siodła i zbliżyłam się do biedaka, z pewną obawą, że posunęłam żart za daleko.”

— „Wyrządziłeś sobie pan co złego? zawołałam.”

— „Nie zdaje mi się—odpowiedział słabym głosem.—Złakłem się o panią, widząc jak pani przeskakuje ten przekłety rów.”

— „Może panu pomódz podnieść się—rzekłam, zmieszana trochę.”

— „Proszę panią.

„Ale napróżno usiłowałam postawić go na nogi.”

„Wtedy dopiero spostrzegłam, że był śmiertelnie blady.”

— „Masz pan prawą nogę złamaną!—wykrzyknęłam.”

— „O! nie sędzę—rzekł z rozbrajającą słodyczą—co najwyżej zwichnięta.”

— „Mówię panu, że złamałeś nogę; znam się na tem.”

„Mówiąc to, myśliwskim puginałem rozciąłam but. Noga ukazała się, wisząca bezwładnie.”

— „Ładna historia!—pomyślałam—jesteśmy o sześć wiorst przynajmniej od tamtych.”

„On nie mówił nic, tylko patrzył wciąż na mnie swemi niewysłowienie słodkimi oczyma. Pomyślał by kto, że jest szczęśliwym.”

— „Dziękuję, wyszeptał wreszcie.

— „Za co? wybuchnęłam—Złamałeś pan nogę przezemnie i dziękujesz mi. Poczekaj pan przynajmniej, aż cię wyprowadzę z tej biedy.”

„On zaś rzekł ze skrucą.”

— „Zechciej pani wrócić i przysłać mi dojeżdżaczy.”

„Właśnie!—zawołałam z pasją—wrócę bez lisa, a gdy mnie zapytają, gdzie jest wielki książę Rudolf, odpowiem: „Zostawiłam go na dnie parowu, ze strzaskaną na drobne kawałki nogi. Nie; panie, tego nie zrobię.”

— „Jak pani chcesz—odpowiedział słabo.—Ale nie wiem, jak sobie poradzisz.”

— „Zobaczysz pan“.

„Gniadosz stał o kilka kroków, szczypiąc gapiowato trawę, pod drwiącem spojrzeniem Tarras-Boulby.“

— „Pójdź tu, brzyda!“.

„Przyprowadziwszy go pojęłam, że nie będę miała dość siły, aby wydźwignąć na niego wielkiego księcia.“

— „Co za myśl brać konie wysokie jak rusztowanie—rzekłam rozłoszczona.“

„Ranny patrzył na mnie wciąż z tą samą skruchą, która doprowadzała mnie do szalonej passji.“

— „Tarras-Boulba!—zawołałam“.

„Berberyjczyk zbliżył się niechętnie. Domyślał się czegoś niedobrego.“

„Rudolf Lautenbourski nie mógł powstrzymać lekkiego poruszenia.“

„Pani chcesz wsadzić mnie na to zwierzę — szepnął — Wolę zostać tutaj.“

„Nigdy — odrzekłam tupiąc nogą — Zresztą Tarras Boulba potulny jest jak baranek. Tylko się pan trzymaj dobrze.“

„Ciężkim był ten Niemiec. Mimo to wsadziłam go na siodło i przywiązałam mocno lejcam.“

„Sama wsiadłam na gniadosza.“

„Możesz sobie wyobrazić w jakim usposobieniu wracałam. Uczyniłam tylko godnym pożałowania tego, którego chciałam nienawidzić. A przytem, zdumiony wzrok Tarras-Boulby rozdrażniał mnie do reszty.“

— „Cóż zawiniłem — zdawał się mówić ten wzrok — że mi każesz nosić tego Niemca, a sama wolisz tę szkaradną szkapę, bez grzywy z kopytami szerszemi niż patelnie“.

* * *

„Nie trzeba nigdy łamać nóg ludziom, których się nie chce zaślubić. Nie potrzebuję opowiadać ci co się stało. Takie typy, jak ja, czują się obowiązane do czegoś, jedynie przez swoje czyny, a ja związałam się tem uratowaniem wielkiego księcia bardziej, niż by tego wszyscy cesarzowie świata dokonać mogli.“

„Mój powrót na gniadoszu z Tarras-Boulbą, niosącym wielkiego księcia, wpoprzek siodła jak pakunek sprawił ogromne wrażenie. Przerwało polowanie. Otoczono nas. Musiałam opowiadać co się stało, a opowiedziałam jak najwięcej, czując że nie miałam się czem chwalić tak bardzo. Ale ranny dodał mnóstwo szczegółów. Gorączka czyniła go wymownym i przedzierzgnęła mnie w bohaterkę. Musiałam przyjmować powinszowania całego dworu“.

„Cesarz, który ma manję dopatrywać się wielkości we wszystkim oświadczył“:

— „Zachwycającą jest ta dziewczeczka, która już pierwszego dnia ratuje życie swemu narzeczonemu“.

„Cesarzowa swoim zwyczajem pocałowała mnie w czoło. Ojciec promieniał.“

— „Winszuję Waszej Królewskiej Mości—szepnął mi do ucha.“

„Uśmiechałam się wściekła w duszy. Wściekłość tę wywarłam na Tarras-Boulbę i za powrotem do pałacu sprawiłam mu takie ciężkie szpicrutą, jakich nigdy jeszcze nie otrzymał“.

„Mam jedną zaletę. Lubię sytuacje jasne. Czując, że przeważnie z własnej winy wpłatałam się w położenie, z którego nie było wyjścia, bez skandalu, a skandal jest zawsze wstrętnym każdej księżniczce godnej tego tytułu, wstrętniejszym nawet niż pewność, że się będzie nieszczęśliwą, postanowiłam tego jeszcze wieczoru postawić moje warunki temu, którego Dwór nazywał moim „narieczonym“.

„Prosiłam, żeby mnie przyjął, co uczynił natychmiast, odesławszy pielęgniarza, który go opatrywał“.

„Gdyśmy zostali sami przemówiłam do niego mniej więcej w ten sposób“:

— „Postępek mój zadziwi pana może. Ale mam i zachowam zawsze zwyczaj czynić to co uważam za potrzebne, nie troszcząc się o konwenanse. Otóż uważam za rzecz w najwyższym stopniu potrzebną powiedzieć panu co następuje“:

— „Przyjechałam do Petersburga, aby towarzyszyć memu ojcu, zobaczyć piękne uroczystości, jednym słowem, zabawić się, a nie aby tu szukać męża. Mężów, chciej mi pan wierzyć, mogłam znaleźć tylu, ile jest prowincji w Rosji, a ostatnim był książę Perski, posiadacz góry, gdzie szmaragdy znajdują się łatwiej niż trufle w Perigord'ze i są od nich większe“.

— „Otóż wracam do rzeczy. Nie wiem co im się wszystkim stało. Ale pokazuje się, że muszę iść za męża. Nie mówię tego, aby panu sprawić przykrość. Ale ostatecznie znamy się dopiero od trzech dni“.

„Bądź co bądź, tak się wszystko ułożyło, że jestem prawie w obowiązku zaślubienia pana. Okoliczności okazują się silniejsze nademnie i nad pana. W naszą sprawę wnięszło się dwóch cesarzów i dwie cesarzowe, korony, zapewne jakieś budżety wymagające zrównoważenia; wiem, że ojciec mój rozchoruje się jeżeli nie zostanie królową, skoro ukazała mu się sposobność po temu. Zresztą złamałam panu nogę“.

— „Nie mówmy o tem szepnął“.

— „Owszem; mówmy o tem, ponieważ mówię panu wręcz, że to ten wypadek, którego jestem sprawczynią, skłonił mnie, iż postanowiłam przyjąć to, o czem jeszcze wczoraj nie chciałam słyszeć. Dzięki jemu, mogę mieć wrażenie, że wychodzę za mąż nie tylko wyłącznie z rozsądku, co dla takiej jak ja kobiety jest rzeczą dosyć przyjemną“.

— „Złamałbym chętnie drugą nogę i obie ręce—rzekł z pełnym słodczym smutkiem — żeby nie słyszeć panią wymawiającą to straszne słowo: małżeństwo z rozsądku“.

— „Kończę—rzekłam bynajmniej nie poruszona.—Zgadza się zostać pańską żoną; ale pozwolisz pan, że postawię parę warunków“.

— „Mów pani, mów—rzekł z mocą.—Wiedz, że wszystko czego zażadasz, będzie spełnionem“.

— „Och! Och! — rzekłam z uśmiechem—przekonasz się pan może za chwilę, żeś się może zanadto pokwapił. A więc, kochany przyjacielu (położyłam nacisk na tę nazwę) od dzieciństwa używałam jak największej swobody, i nie myślę się jej wyrzekać, idąc za męża. Żądam, żeby nic w tem nie uległo zmianie; rozumiesz pan — nic“!

— „Jakże możesz pani puszcząć...“

— „Nie tłumacz pan sobie mylnie słów moich—rzekłam.—Uważaj pan, że to nie młoda panna, ani kobieta mówi do pana, i zrozum, że warunkiem moim jest, aby nasze małżeństwo pozostało, stosownie do mojej niezłomnej woli, jedynie związkiem przyjaźni, niczem więcej“.

„Nie wiem, jak bym się wywiliła w dalszym ciągu z tej drażliwej przemowy, gdyby jego męska głupota, nie przyszła mi z pomocą“.

— „Kochasz pani innego—rzekł głucho“.

— „Bądź pan przyzwyczajonym, a zwłaszcza nie mów głupstw—odpowiedziałam spokojnie.—Zgadza się powiedzieć panu, że nie kocham nikogo, chyba, skoro już o kochaniu mowa, mój kraj rodzinny, polowanie, ojca, kwiaty, i parę jeszcze rzeczy, które nie mogą wywołać zażdrości, godnej pożałowania u człowieka inteligentnego. Czy to panu wystarczało“?

„Uśmiechnął się blado“.

Dalszy ciąg nastąpi.

